

Kronika tygodniowa.

Tytuł niniejszy może nie jest zupełnie odpowiedni, kronika bowiem ma być więcej noworoczną, niż tygodniową. Niestety, pan metrapaź oświadczył mi całkiem kategorycznie, że na podobną zmianę ze względów zasadniczych pozwolić nie może, wobec czego pogodziłem się z losem.

Zaczynam, rzecz prosta, od Nowego Roku, nie będę jednak składać życzeń P. T. Czytelnikom, musiałbym chyba powtórzyć to samo, co już w ubiegłym tygodniu napisałem, a to znów nie wypada. Pozwolę sobie przecież zaznaczyć, iż głęboko dotknęła mnie czarna niewdzięczność obywateli rozszerzonego serca Polski, gdyż literalnie ani jeden nie złożył mi życzeń świątecznych, choć się o to przymawiałem. — Mężczyźni, to jeszcze nic, ja wiem, że oni serca nie mają, zupełnie przecież inne wyobrażenie miałem o naszych pięknych Krakowiankach, słynących podobno z czułego na ludzką biedę serca.

Powiadają „podobno“, zaleta ta jest wewnętrzna, trzeba by więc każdą najpierw przenicować, by się o tem przekonać.

A może tych czułych wyewakuowano?

Jakkolwiek się stało, stwierdzam fakt dokonany i proszę, by bodaj na przyszłość, gdy się sytuacja poprawi, a konjunktury staną lepszymi, poprawili się i P. T. Krakowianie. Jeśli się to nie stanie, złamię swe „wytworne“ pióro i poszukam sobie innego, popłatniejszego zajęcia, bodajby przy tramwaju, skąd płeć piękna zaczęła w czasie wojennym rugować brzydką.

Czy ona jest rzeczywiście piękną, o tem powiedzieć nie mogę, bo się na tem nie znam, zaznaczę jednak mimochodem, iż *ex re* owej damskiej obsługi miałem już awanturę z moją starą, która raczyła najmiłościwiej zauważyć, iż coś zbyt często używam tramwajów, co jest bardzo podejrzane, ze względu na okoliczność, iż dzieje się to dopiero od tego czasu, odkąd wprowadzono instytucję konduktorek.

Tłumaczyłem się, jak umiałem, czy to na co się zdało, nie wiem.

— Moja Weronisiu! — powiadają — Konduktorki urzędują od czasu mobilizacji, więc dopiero pod jesień, a ty wiesz przecież najlepiej, że właśnie wtedy dokucza mi ten przeklęty reumatyzm!

— Dobrze ci tak! — ona na to — Trzeba było w młodości prowadzić bogobojne życie. Dlatego ja na żaden reumatyzm nie narzekam?... Ty, jak każdy mężczyzna, znajdziesz zawsze wymówkę... Nie wiem jednak, jak Dyrekcja może pozwolić na podobne zgorszenie, bo, że każdy mężczyzna musi być narażony na pokusę, gdy w wąskim tramwaju przeciska się tam i napowrót kobieta, to nie ulega żadnej kwestii. Zbieramy już podpisy na petycji, która będzie wręczona panu Dyrektorowi... Złe należy zdusić w zarodku..

Aby się przekonać o tem „zgorszeniu“ na własne swe oczy, wybrała się pocziwa kobieta w podróż wozem tramwajowym, choć tego nie lubi, twierdząc, że czuje się tam, jak w arce Noego, gdzie było, jak wiadomo „wszelkiego stworzenia po parze“. Badania jej wypadły widocznie nie najgorzej, od tego czasu do tej kwestii już nie powróciła.

A może taką ufność pokłada w mej wypróbowanej i zaprzysiężonej wierności małżeńskiej?

Dzień Nowego Roku będzie zapewne, jak i po inne lata, bardzo ruchliwy, gratulantów chyba nie brakuje. Choć lwia ich część opuściła Kraków, pozostało ich przecież jeszcze tylu, iż potrafią z precyzją obsłużyć każdego, kto ma ochotę płacić, bo tylko w ten sposób dziękuje się za „sredeczne“ życzenia.

Ja tam jestem obecnie o tyle w lepszym położeniu, że stróżce mogę nie dać ani centa, nie chodzi mi bowiem wcale o jej względy. (Proszę tego jednak nie brać zbyt tragicznie!) W ubiegłym roku, gdy moja lepsza połowa bawiła z całym żywym i większą częścią martwego inwentarza przez całe wakacje na świeżem powietrzu, a ja zmuszony byłem pędzić tu w Krakowie smutny żywot słomianego wdowca, trzeba było okupić jej dyskrety, teraz, gdy jestem niewinny, jak nowonarodzone dziecko, gwizdam na nią! Dostanie, co najwyżej, szóstkę, a i to dość na te ciężkie czasy.

Z kolei przesunie się przez przedpokój i kuchnię cała serya innych typów jak: listonosz, kominiarz (który u mnie żadnego komina nie wyciera, z oszczędności bowiem nie palimy teraz w piecu) i inni.

Do pasy doprowadza mnie natomiast corocznie zjawiająca się delegacja robotników z zakładu Tallarda, życząca „dobrego zdrowia, fortuny, a po

śmierci korony“ i wyciągająca równocześnie dyskretnie swe szerokie łapy.

Jestem jednak człowiekiem praktycznym i ostrożnym. W tym roku postarałem się o świadectwo lekarskie, stwierdzające, że „cała rodzina J. W. Kronikarza Nowości Illustrowanych, jak rok długi urzędowała austriacki parlament, to jest, cierpiała na obstrukcję, zasługuje więc na uwzględnienie“.

Jeśli zechcą uwierzyć, to i owszem, jeśli nie, gotów jestem zrzucić ich ze schodów, a nie radziłbym im tego, schody bowiem są ciemne, każdy więc mógłby się łatwo znaleźć w tej milej sytuacji, o której powiada natchniony poeta:

„...On w egipskich mrokach
Czterdzieści schodów w trzech przebył podskokach“...

Tylko listonosz może liczyć na datek noworoczny, ale także pod warunkiem, mianowicie, jeśli złoży przysięgę, że jak rok długi nie przyniesie ani jednego protestu wekslowego lub pisma upominającego od kogoś z wierzyteli. Listy pieniężne są natomiast bardzo mile widziane i to nawet po kilka dziennie.

Zapytywano mnie z kilku już stron, jaki będzie rok 1915. Niestety, dziś tego powiedzieć nie mogę. Interpelanci zechcą się łaskawie zatrzymać do końca grudnia, wówczas złożę dokładne sprawozdanie, jaki był i prawdopodobnie się nie pomyłę. Gdyby bodaj pani de Thèbes była już ogłosiła swoje przepowiednie, powtórzyłbym je za nią. Na razie jednak milczy, a wiem, jaką to boleść musi sprawiać gadałowej niewieście.

Chyba, że już nie żyje, trafiona odłamkiem bomby, rzuconej na Paryż z Zeppelina...

To jedno jest pewnem, że rok 1915. tak, jak i poprzednie, zacznie się w dniu 1. stycznia o godzinie dwunastej w nocy, jeśli *nota bene* nic nadzwyczajnego temu nie przeszkodzi. Powitanie nie będzie tak huczne, jak po inne lata, czasy bowiem są, jak to mówią „pod psem“. Nie wątpię przecież, że tu i ówdzie pęknie butelczyna szampitra na okazanie radości, że stary już poszedł spać i podszycenie nadziei, że nowy będzie lepszy. Wiadomo zaś, że właśnie pod wpływem owych „mydlin“, jak słusznie szampana nazywa jeden z mych przyjaciół politycznych (czasem ludowiec, w wolnych chwilach zaś narodowy demokrat), zapomina się o bieżących kłopotach, robi nowe długi i żywi lepsze nadzieje na przyszłość. A jakie cudowne składa się wówczas kombinacje polityczne?... Niech się schowają pp. Berchtold, Bethmann-Hollweg i spółka.

Środek owego roku wypadnie, jak zwykle, na koniec lipca, koniec na 31. grudnia, chyba, jak wyżej wspomniałem, gdyby coś zaszło niespodziewanego, za co jednak ani ja, ani Redakcja absolutnie żadnej odpowiedzialności moralnej lub też materialnej przyjąć nie może. O ile wiem, na rok 1915. nie zapowiedziano żadnej komety ani męskiego, ani żeńskiego rodzaju, z tej strony nie nam więc nie grozi, o końcu świata także cicho. Chyba... ale dajmy temu spokój, by przypadkiem nie wypowiedzieć paskudnego słowa w złą godzinę. Choćby zresztą i miał być, odłoży się go ze względu na moratorium.

Ważniejsze pytanie, czy w r. 1915. skończy się wojna?

I na nie nie mogę odpowiedzieć, choć w tej materii przeprowadziłem korespondencję z wszystkimi ministrami spraw zagranicznych trójprzymierza i trójporozumienia. Urządziłem z nimi pewien rodzaj ankiety, boję się jednak, czy przypadkiem listy nie zalegają w Urzędzie pocztowym. Gotowi je dostać dopiero po ukończeniu wojny, a wówczas i bez nich będziemy wszystko wiedzieć dokładnie.

Są przecież pewne znaki, wprowadzie tylko na ziemi, nie na niebie, które każą się spodziewać, że wojna rychło się skończy. Chyba, że... (Ten kronikarz, to stał się takim obrzydliwym pesymistą, że aż wstydl... przyp. zecera).

Jednym, i to najważniejszym z nich, jest tak zwane „Radosne zdarzenie na dworze włoskim“. Z telegramów w ten sposób zatytułowanych dowiadujemy się mianowicie, że królowa Helena raczyła najmiłościwiej powić księżniczkę. Fakt to brzemienny w znaczenie i o tak głębokim podkładzie politycznym, iż trudno mi go nawet zgruntować.

Bo, proszę tylko zauważyć! Król Wiktor Emanuel, ojciec nowonarodzonej, *de facto* (inni wołają: *de nomine*) należy do trójprzymierza, królowa Helena, jako córka nieodrodna swego papy, króla Nity czarnogórskiego, do trójporozumienia. W Kwirynale też, gdzie pierwsze skrzypce gra królowa, kokietuje się trójporozumienie. Pokazało się przecież, że król, który ogłosił zupełną neutralność i teraz jej nie złamał i postarał się, by właśnie w wojennym czasie urodziła mu się córka, a nie

syn. Później, gdy dorośnie, wyda się ją za któregoś z książąt krwi trójporozumienia i w ten sposób zaciśnie węzły i wyrówna różnice między trójprzymierzem, a trójporozumieniem.

Bardzo mi się to podoba, nie przestanę też wielbić królowej, iż nawet w tak krytycznej chwili okazała tyle zmysłu politycznego!

Dalej za pokojem przemawia uroczystość trzech króli, która odbyła się nie w Betleem, ale w Malmö, i nie w styczniu, ale w grudniu. Nie ma się jednak czemu dziwić, są to bowiem władcy z północy, nie zaś ze wschodu, jak owi biblijni, i jako dary do szopki mogliby przynieść co najwyżej: paczkę szwedzkich zapalek, pudełko norweskich śledzi i parę duńskich rękawiczek.

Ale oni nie po to się zjechali. Im się spieszy bardzo, każdy bowiem chciałby jak najwięcej skorzystać z sytuacji i wytargować coś dla swojego kraju za ową neutralność, która prędzej, czy później, musi zyskać nagrodę.

Otóż, jak mnie zapewnia jeden z dyplomatów, który w obradach brał udział (przed laty chodziłszy razem do szkoły normalnej u św. Barbary, ja jednak dostałem dwóję z gimnastyki, wobec czego nie mogłem się poświęcić karierze dyplomatycznej...), gniewano się tam ogromnie, że wojna tak się przeciąga, „neutralści“ bowiem chcieliby już raz dowiedzieć się stanowczo, czego który z nich może się spodziewać, jeśli zaś tak dalej pójdzie, jak dotąd, gotów się każdemu dostać tylko owoc południowy, to jest figa, a oni, jako mieszkańcy północy, tego nie lubią.

Postanowili więc wywrzeć nacisk, gdzie potrzeba, by raz już kroki wojenne zakończono i zwołano kongres pokojowy, który z pewnością będzie się kłócił bodaj przez rok cały. Coś podobnego, jak z konferencją bałkańską w Londynie. Gadano i gadano przez kilka miesięcy z rzędu, a dziś widzimy, że z tego wszystkiego nici...

Jest i trzeci prognostyk, więcej już domowy, że wojna ma się ku końcowi.

Dotąd myślało tylko o czynach wojennych, miłość na drugi plan odsuwając, tymczasem teraz, dla rehabilitacji pocziwego Amora, który musiał ustąpić miejsca Marsowi, zaczyna, o ile sygnalizowano mi z różnych stron, brać górę trzeźwe zapatrywanie na życie. Ludziska przychodzą do głowy po rozum, że po wojnie trzeba będzie znowu rekrutów i zaręczają się coraz liczniej (chciałem powiedzieć „częściej“, boję się jednak, by mnie źle nie zrozumiano, choć i ja próbowałem swojego czasu szczęścia do trzeciego razu!), by oddać się cichej a owocnej pracy obywatelskiej.

Na razie wszyscy mają tak nabite głowy owymi „grubymi Bertami“, że kawalerowie przedkładają większy cielesny kaliber, lekka natomiast artyleria (t. j. chude) nie cieszą się wcale popytem.

I jest w tem racja, jak bowiem powiada prorok: „nim tłusty schudnie, tymczasem chudego dyabli wezmą“, a tu na te ciężkie czasy trzeba być przygotowanym na bardzo niewygodną podróż po grudzie... Jarzmo małżeńskie jest ciężkie, tem więc bezpieczniej, im szerszy i silniejszy kark je dźwiga.

Czy moje przepowiednie się spełnią, tego nie wiem, nie przyjmuję też za nie najmniejszej odpowiedzialności, życzę przecież wszystkim, zatem i samemu sobie, by tak się stało, wojna bowiem dała się nam porządnie we znaki. Czyż serce nie pęka każdemu z żalości, gdy się czyta, że „Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy wśród huku armat“, którego jednak słychać nie było?

Niechaj więc choć na Wielkanoc nastanie spokój, byśmy mogli spożyć tradycyjnego proszianka, jeśli do tego czasu bodaj jeden przy życiu pozostanie! Huk zaś, jak wiadomo, wpływa bardzo ujemnie na funkcje ludzkiego przewodu pokarmowego, co mieliśmy sposobność stwierdzić ze statystyki chorych i „ruchu“ zmarłych w okresie poświątecznym.

Aby Szanowni Czytelnicy kronik mieli zawsze świeże i pewne wiadomości polityczne, podawane z pierwszej ręki, postarałem się wysłać w okolice Krakowa swych specjalnych sprawozdawców, by wszędzie, gdzie Moskale byli, lub nie byli, zbadali sytuację na miejscu.

Zaszczytnej tej misji podjęli się młodociani współpracownicy znanego handlu „pod Obrazem“, którzy, korzystając z urlopu, wyjechali na święta w strony rodzinne. Na odjeździe musieli złożyć w me ręce ślubowanie, że nikomu innemu, prócz mnie, interwiewować się nie pozwolą.

Wyjechał więc Władzio do Zabierzowa, Józio do Bochni, Stefan do Jordana, a Miecio do Liszek, każdy z nich przeświadczony o doniosłości swej misji i pewny, że jego nazwisko przejdzie do historii.